



Mirosław Derecki

EKRAN I WIDZ: LEDA Z... KACZOREM

Współczesna Leda nosi strój piosenkarki rocka, a zamiast łabędzia próbuje obdarzyć swoimi wdziękami – kaczoza. I już choćby tylko ta scenka może stanowić wizytówkę całego filmu Willarda Huycka „Kaczor Howard”; tej zwariowanej amerykańskiej komedii w stylu disco, wypełnionej lawiną sytuacyjnych i słownych gagów, purnonsensowych sytuacji i nieprawdopodobnych wydarzeń, których główny bohater to sympatyczny i odważny przedstawiciel kaczego gangu.

Inna sprawa, że Howard nie jest takim sobie zwyczajnym ptakiem domowym. Pochodzi z odległej, podobnej do naszej Ziemi, planety. Tyle że tam ewolucja zaczęła się nie od małych człekokształtnych, ale od prakaczek, doprowadzając w końcu do powstania wysoko cywilizowanej kaczkiej społeczności, podobnej prawie jota w jotę do społeczności ludzkiej. Oczywiście poza wyglądem zewnętrznym.

Porwany w pewnym momencie przez tajemnicze moce ze swego mieszkania, kaczor Howard, jeden z przedstawicieli kaczego show-businessu, zostaje przeniesiony na Ziemię, do miasta Cleveland w Stanach Zjednoczonych. I teraz zaczyna się cała lawina przygód Howarda, poczynając od bójki z miejscowymi chuliganami w obronie pięknej rockowej piosenkarki Beverly Switzler, poprzez niesamowite ucieczki samochodami i samolotem przed goniącą kaczozą policją, aż po bohaterską walkę z potężnym Władcą Ciemności, pragnącym opanować naszą planetę. A wszystko to – na doskonałym, rockowym podkładzie muzycznym, bo przecież film jest przeznaczony dla młodzieży, głównie tej w wieku przedmaturalnym.

Protoplastą filmowego kaczozza Howarda jest występujący pod takim samym imieniem bohater cieszącego się w Stanach Zjednoczonych wielkim powodzeniem komiksu rysunkowego autorstwa Steve Gerbera. Komiksowy Howard to osobnik wprawdzie zupełnie niepodobny do człowieka, ale za to wyposażony we wszystkie ludzkie przymioty i tak samo niepozbawiony ludzkich wad i śmieszności. To właśnie pozwala zapomnieć jego ziemskim towarzyszom o dziwacznej posturze ich upierzonego kompana. Może tym bardziej, że Howard potrafi się, gdy trzeba, wykazać nie tylko zaskakującą dzielnością i odwagą, ale także całkiem... męskim urokiem. Kompletny nonsens? Oczywiście. A jednak bzdurna sytuacja

została wypiętrzona w rysunkowych opowieściach o Howardzie do takiego szczytowego punktu, gdzie nabiera ona już cech realności.

Podobnie ma się rzecz na ekranie. Jeżeli nawet w początkowych scenach bohater filmu - niski, zabawnie toczący się na swych krótkich nóżkach, obdarzony potężnym dziobem, puszysty stworek - może się jawić widowni, jako martwa kukła, odstająca od swych żywych partnerów, to w pewnym momencie ta różnica całkowicie się zatracą. Postać Howarda, prawda z niej płynąca, aktorstwo niezwykłego kaczoora, (w którego „skórze” siedzi fenomenalny Jordan Prentica) są tak naturalne, jego reakcje i sposób zachowania się wobec partnerów tak normalne, że przyjmujemy go „z całym dobrodziejstwem inwentarza”. Niczym jakiegoś Jacka Lemmona czy Jacka Nicholsona, którzy popadli oto na naszych oczach w niezwykle tarapaty, ale ze zręcznością i z humorem potrafią się z nich wykaraskać.

„Kaczor Howard” zawdzięcza swoją doskonałość w ogromnej mierze fachowcom od efektów specjalnych oraz nieprawdopodobnie biegłym w swym zawodzie charakteryzatorom i animatorom. Dzięki ich kunsztowi nawet dziób kaczoora Howarda potrafi wyrazić całą gamę ludzkich doznań. Ale, oczywiście, palma pierwszeństwa należy się reżyserowi Williardowi Huyckowi, który jest także współautorem filmowego scenariusza. A scenarzyści widzieli „Kaczora Howarda”, jako komedię science-fiction z elementami parodii lub pastiszu licznych znanych filmów dla masowej widowni („Gwiezdnych wojen” czy „E.T.”).

Można by tutaj też znaleźć przejrzyste odniesienia do policyjnego thrillera, do filmu o demonach, do niemej amerykańskiej burleski itd. itp., aż po swoistą, autoparodię. Bo wszak „Kaczor Howard” podkpiwa sobie wyraźnie i z gatunki współczesnego młodzieżowego filmu rockowego, w którego granicach sam się mieści. Te założenia potrafił Williard Huyck w mistrzowski sposób przenieść na ekran, nadać całej opowieści o przygodach kaczoora Howarda i grupki jego towarzyszy doskonale tempo, doprowadzając do zaskakującego finału. Nie byłoby jednak tego filmu bez udziału w nim doskonałej Lei Thompson, która wcieliła się w postać partnerki kaczoora Howarda, przekonywującej i bardzo pociągającej rockowej piosenkarki, Beverly.

Inna sprawa, że doceniając wszystkie pozytywy „Kaczora Howarda” (filmu, który bezsprzecznie zrobi „kasę” i stanie się jednym z głównych frekwencyjnych przebojów tegorocznego sezonu filmowego), coraz częściej jednak mam dosyć po dziurki w nosie tej inwazji zręcznych, doskonałych warsztatowo, ale przecież nieprawdopodobnie płytkich filmów rozrywkowych, przewijających się, jeden za drugim, przez nasze ekrany.

Może oczekiwany od kilku dziesiątków lat angielski „Most na rzece Kwai”, który wreszcie w trzeciej dekadzie kwietnia wchodzi na lubelskie ekrany, przyniesie jakąś zapowiedź repertuarowej odmiany?